№ 16 WARSZAWA, DNIA 19 KWIETNIA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— Tych, co znamy, teraz tu nie masz— powiedział Samuel i umilkł.

— Przyjdź kiedy do mnie—rzekł obcy po chwili.—Nie wiem ci ja, przed czem uchodzisz, ani co cię wiedzie. Ale o brata się dowiedzieć pomogę. Bywają różni ziemianie, dworzanie i rycerze w naszej oficynie. Przez nich może się czego dowiemy.

Hieronim żywo chciał wyrazić swą wdzięczność. Ale pierwszy raz poczuł się dzikim: ani słowa nie mógł znaleźć. To go zmieszało. Zarumienił się cały i bąknął:

— Prawdziwie... Nie wiem...

— Ludzka rzecz jest — rzekł tamten — sobie wzajem ułatwiać, co można. Gdyśmy tu razem na tym padole się zeszli, mielibyśmy jeszcze utrudzać sobie życie? Homo homini res sacra.

Scholarze go słuchali, ale on to mówił raczej do swojej lampki z winem, przechylając ją i patrząc, jak przez nią przenikało światło, czerwone od wina, by krew.

— O jakiej oficynie wasza miłość mówiłeś?—spytał Samuel jeszcze.

— Przyjdźcie do drukarni Mikołaja Szarfenbergiera — rzekł obcy — i pytajcie o mistrza Pawła.

— A!—rzekł Samuel.

Gdy wyszli na ulicę, było już koło ósmej i zupełnie ciemno. Tu i ówdzie prze-



Pleban.

chodził ktoś z latarnią, napełniając hałasem swych kroków całą ulicę. Światło latarni sunęło nizko nad ziemią i oświetlało jego nogi i fałdy płaszcza.

Kraków spał.

Szli śpiesznie do mieszkania Samuela na Szczepańskiej.

— Znasz-li go?—spytał Hieronim.

— Nie — odparł Samuel. — Alem nie myślał, że będzie w oficynie drukarskiej.

— Ani ja — rzekł Hieronim. — Widział mi się ktoś znaczny.

Sprzedaż noża.

Kiedy Hieronim na drugi dzień ruszył na poszukiwanie towarzyszy w stronę bursy, do której wczoraj wieczór poszli z winem, spotkał Stacha i Pietrka, jak z niej wychodzili, aby iść do rektora akademji i zapisać się na uczniów.

Stach już sobie zapewnił mieszkanie w bursie, bo jak mówią: „kruk krukowi oka nie wydziobie", a w tej bursie bywali zawsze sami litwini i mazury: ludzie zdaleka, od tych z Małopolski, Wielkopolski i Śląska całkiem różni. Dokuczano im w Krakowie i wyszydzano, dręczono, wyśmiewano za ich mowę i za wszystko, co w nich było odmienne. Co raz to rektor miał do sądzenia sprawę o przedrzeźnianie mazurskiej mowy, o bitwy z litwinami. Oni też za to trzymali się między sobą i stawali jeden za drugim. Pietrka przyjąć nie chciano; twierdził, że sobie już coś do niego upatrzyli.

— E, bracie! — śmiał się Stach — sameś im swoich rogów ukazał. Ów ten scholarz do ciebie z mazurska, a ty mu wytwarzając odpowiadasz: tko? ja? I zarazeście się pobili.

— Jak, jak? — zapytał Heromin rozśmieszony.

Aktorzy w maskach.

— Nie wiesz? Mazury nie mówią kto, jeno tko, — objaśnił mu Stach.

— Dobrze ci się śmiać! — rzekł Pietrek nachmurzony, — a ja gdzie teraz pójdę?

Zaświstał ze smutkiem, i machnąwszy ręką, jakby odżałował swego, powiedział:

— Może też to palec boski, który mnie do lepszych rzeczy przeznacza; a nuż profesor jaki weźmie mnie do się, za usługi? Da miejsce do przespania, jeść..,

Już mu zabłysły oczy ciekawością przyszłych losów, i pogodził się zupełnie z tem, że go w bursie nie przyjęto.

— A ty, Hieronimie, coś zamyślił? — spytał Stach.

— Wpiszesz się? — żywo spytał i Pietrek,

porzucając swoje myśli, przypomniała mu się bowiem wczorajsza przygoda.

— Wpiszę — odrzekł Hieromin — spróbuję. Będzie-li źle, tedy pójdę do Andrzeja.

— A mieszkać gdzie będziesz?

— Nic nie wiem — odpowiedział. — Pieniędzy nie mam.

— Masz-li co sprzedać? — spytał Pietrek.

— Sprzedać?... Mam nóż bardzo dobry, ale...

— Tego dnia com miał z domu jechać, dała mi go gospodyni razem z pasem — rzekł Hieromin. — Ale noszę go pod sukniami, bo poco nim ludziom w oczy świecić?

— Za to można dobre pieniądze wziąć — powiedział Pietrek, kręcąc głową z podziwem.

Hieromien schował nóż i poszli dalej, bo trzeba było spieszyć się do rektora.

Było rano, i na ulicach roiło się od



Pogoń.

żebrzących żaków. Nędznie odziani. w stare i brudne suknie, z garnuszkiem w ręku, szli, mrucząc pieśni nabożne i oglądając się na drzwi i okna mieszczańskich kamienic i domów.

Inni, widać pewni swego, stali nieruchomo przed tymi lub owymi drzwiami, czekając aż gospodyni wychyli się i weźmie od nich garnek, a potem im go odda pełnym. Widać też było mieszczki, wychodzące do małych żebraków. Czasem wychodziły małe dziewczęta, czyste, różowe, uśmiechnięte, gładko uczesane.

Pełno było gwaru na całej ulicy.

— Widzisz — rzekł Stach, — jaki tu dobry naród. Bez nich, ani połowa tych żaków tu by nie wyżyła.

Hieromin, spoglądając na nędznych ża-

— Nóż? — zawołali — pokaż! pokaż!

Stanęli w zaułku, i Hieromin, sięgnąwszy pod suknie na piersi, odczepił nóż w pochwie, wyjął go, i pokazał.

— O, o, o! — odezwali się obaj żacy z podziwem.

Pochwa była z twardej skóry ziarnistej, misternie okuta srebrnemi ozdobami. Ale dopiero nóż sam! Ze stali tak błękitnej, jak wielkie wody przy pogodnem niebie, a giętkiej tak, że koniec klingi przygiąwszy, niemal do rękojeści przywieść się dawał. Rękojeść też była srebrem suto ozdobiona.

— O, o! — powtarzali oglądając — o, o!

— Sprzedasz go? — spytał Pietrek. — Niceś nam nie mówił, że masz nóż taki czysty.

ków żebrzących, słysząc ich pieśni żebracze, niewiele miał ochoty robić tak jak oni, i być między nimi.

Weszli do Collegium, ale sapientia, czyli bedel akademji, prawa ręka i nieodzowny sługa rektora, powiedział im, że dziś do wpisów się nie przyjmuje.



Pleban i Jejmość.

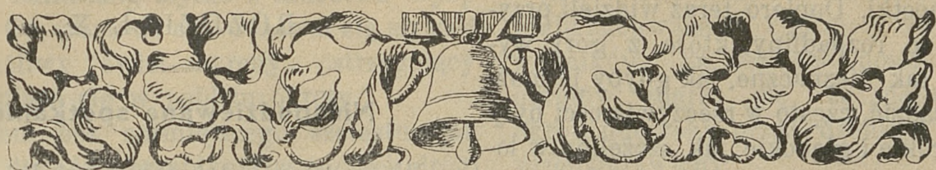
To wygłosiwszy, ponuro i groźnie przemierzył ich oczyma, i dodał, wygoloną brodą ruszywszy w ich stronę:

— Nie wiesz-li, jeden z drugim, że takie odzienie studentom nie dozwolone?

Przystanęli, i spojrzeli po swoich ubiorach, a sapientia przyszedłszy bliżej, ukazując palcem to na ich stare kaftany, to na wytarte spodnie, gadał surowo, jak prokurator w sądzie do sąpierza.

— Tunikę masz mieć! Czarną, nie inszą! A że teraz pozwolili i na krótką, co się topieniakiem zowie, tedy i taką możesz mieć. Myckę masz nosić, a nie owo czapkę świecką, dworską jako ta, z ogonami na uszach! Tak się teraz studenci nosić chcą, jak im jeno pycha poszepnie: a to na buro, a to na zielono, a to na czerwono... ba, i na żółto. Rękawy rozcięte, jak u dworzan, aż cała ręka wyłazi; drugi znów się ubierze, że podobniejszy do żołnierza, niż do scholarza. Na mycce, co jest rzecz duchowna, i w poszanowaniu być powinna, złote wstążki i piórka czepiają: tfu, Sodoma i Gomara! To wam mówię: srogo i ciężko za to was karać będziemy, jeśli się pobożnie nosić nie będziecie, na czarno i gładko, jako o tem ustawy są, szesnaście lat temu, anno domini 1533, przez nas wydane.

(D. c. n.).



POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Kilanea nie posiada stożkowatego otworu, lecz leży na płaskowzgórzu jak olbrzymi kocioł, i gdyby nie para i dym, które go już zdaleka zdradzają, zobaczyłoby się go dopiero wtedy, gdy się stanie ad stromym urwistym brzegiem kotła. Niedaleko urwiska znajduje się mały drewniany hotel „Wulkan", jedyne zamieszkałe miejsce w obrębie kilkunastu mil.

Ze względu na swe położenie, jest to jeden z godnych widzenia hoteli świata. Z olbrzymiej przestrzeni skalistego gruntu, wszędzie unoszą się kłęby pary, a na dziedzińcu hotelowym z jednej szczeliny płynie tak gorąca para, że kucharz używa jej zamiast ognia i grzeje na niej wodę.

Z początku przyjaciele czuli się jakoś nieswojo w tem piekielnem otoczeniu. Lecz właściciel plantacji uspokoił ich, rzekłszy z uśmiechem:

— Ten dom stoi tu od 10 lat i pomimo wybuchów, nic mu się nie stało. Kilanea pracuje wprawdzie bez przerwy, lecz bardzo prawidłowo i spokojnie. Od czasu do czasu bywają silne wybuchy, z potokami lawy i wyrzucaniem kamieni, które wystawiają nerwy mieszkańców tego domu istotnie na ciężką próbę, jednak do tej pory nie wyrządziły żadnej szkody, ponieważ krater, jak się panowie przekonacie, jest olbrzymi a otwory, przez które przedostaje się lawa i kamienie giną w nim, tak że wyrzucana masa nigdy nie dosięga brzegu.

Pan Ahrens zaprosił swych gości nad sam brzeg; wspaniały lecz straszny widok otworzył się ich oczom.

Zajrzeli do kotła owalnego kształtu, 13 kilometrów długiego i 10 kilometrów szerokiego. Dno kotła wyglądało jak asfaltowe, pokryte tysiącem bruzd i nierówności. Wśrodku kotła znajdował się główny otwór wulkanu, z którego nieustannie wybuchał dym i para, tak że niebo nad Kilaneo stale jest zaćmione. Od czasu do czasu wydostaje się z głównego otworu ognista lawa, tworząc jezioro, które pomału zastyga i krzepnąc, tworzy owe niezwykłe szczeliny i wypukłości. Powierzchnię zastygłego jeziora lawy można porównać z powierzchnią księżyca.

Mężczyźni stali głęboko wzruszeni wobec niezwykle groźnego zjawiska natury. Potem zeszli z przewodnikiem stromą, dziką ścieżką na dół, w celu obejrzenia rozpadlin, przez które poprzerzucane były drew-

niane mostki. Dopiero teraz widzieli przyjaciele, że rozpadliny, które z góry wyglądały tak nieznaczne, jak gdyby je można przesadzić, często w rzeczywistości były tak szerokie i głębokie, jak szczeliny w lodowcach.

— Kto tu idzie bez przewodnika i zaskoczy go chmura, musi zginąć — rzekł Jan, wskazując na szczeliny.

Właściciel plantacji na znak potwierdzenia, skinął głową.

— Pewni śmieli podróżnicy przypłacili ten experyment śmiercią. Zeszli bez przewodnika, i nigdy już o nich nic nie słyszano i nie widziano.

Pełni wrażeń, zmęczeni udali się wkrótce do hotelu „Wulkan".

Zwiedzenia wulkanu Mauna Loa musieli sobie odmówić, ponieważ wycieczka ta wymagała wiele czasu i przygotowań. Następnego dnia pojechali do Waiakea. Tutaj w posiadłości pana Ahrensa, przyjaciele spędzili jeszcze kilka dni, potem musieli wyjeżdżać, gdyż przybył parowiec pocztowy, idący do Honolulu. Gorąco i serdecznie pożegnali uprzejmego gospodarza i jego rodzinę. Jakże przykrą rzeczą jest jednak pożegnanie!

Gdy mały statek przybił do Honolulu, zaczęli się zastanawiać nad tem, co czynić dalej.

— Jeżeli teraz szczęśliwy jakiś traf nie dopomoże nam odnaleźć Gonzalesa, uważam wszystko za stracone! — rzekł przygnębiony Jan.—Nie mogę marnować czasu i pieniędzy na tę bezskuteczną pogoń, trzeba wracać do domu. Los widocznie chce, aby zło zwyciężyło nad dobrem.

Monsard nie umiał temu zaprzeczyć, gdyż sam stracił nadzieję.

Postanowili wracać, albo przez Amerykę albo przez Azję wschodnią, zależało to od pierwszego lepszego połączenia pociągów.

ROZDZIAŁ X.

Niespodziewane spotkanie.

W szesnaście dni potem wielki i szybki amerykański parowiec „Syberja", przejeżdżał przez kanał Ballintang, który pomiędzy wyspami Filipińskiemi i Formozą prowadzi do morza Chińskiego. Parowiec szedł z San Francisko, następnie zatrzymał się w Honolulu i wciągu 30 godzin powinien był stanąć w Hongkong.

Powietrze było ciężkie, przytem szalona mgła, tak że niebo i morze tworzyło jednolitą szarą masę. Okropna parność ciężyła nad wodą. Wysoko idące fale huczącego morza opryskiwały okręt, a z pokładów ciekła po ścianach opadająca mgła. Zmęczeni długą podróżą, pasażerowie leżeli w leżakach na pokładzie spacerowym pod rozpiętem płótnem, które miało chronić od wilgoci, i przez nawpół zamknięte oczy patrzeli w pochmurną, szarą przestrzeń.

— Szkoda, podróż była taka piękna, lecz koniec zdaje się będzie smutny — rzekł cicho jeden z panów do swego sąsiada i wypuścił dym z cygara.—Morze Chińskie jest niebezpieczne. Przeżyłem już kiedyś na niem tajfun, którego nigdy nie zapomnę.

— Chciałbym już jaknajprędzej dostać się do Honkong,—rzekł drugi z westchnieniem.—Ztamtąd koleją syberyjską już niedaleko. Stęskniłem się do domu, do pracy.

Rozmawiającymi byli nasi znajomi, Monsard i Chmurzyński. Ponieważ powtórne poszukiwania Gonzalesa w Honolulu nie dały pomyślnego wyniku, zdecydowali się wracać do domu odchodzącą właśnie „Syberją", przez Azję wschodnią.

Parowiec zwolnił biegu, gdyż powietrze było coraz bardziej mgliste, a droga przez

kanał Ballintang słynie z mnóstwa wysp i raf. Od czasu do czasu dawał się słyszeć przeraźliwy świst syreny, ostrzegający znajdujące się w pobliżu okręty.

Wtem bez najmiejszego szelestu, jak okręt duchów, przepłynął w poprzek drogi mały żaglowiec i znikł za ścianą mgły.

— Te chińskie dżonki*) płyną niedouwierzenia lekkomyślnie, — rzekł Monsard, zauważywszy dżonkę.

*) Lekka i szybka dwużaglowa łódź chińska.

Rok w rok setki ich idzie na dno, z powodu zuchwalstwa i głupoty swych przewodników. Są też one postrachem dla okrętów: zdarza się, że najmocniejszy okręt, uderzony przez dżonkę, może być przedziurawiony.

Zaledwie zostały wypowiedziane te słowa, maszyny „Syberji" zaczęły szybko pracować, aby całą parą się cofać, tak, że moc stolików poprzewracało się, a podłoga pokryła się mnóstwem skorupek potłuczonego szkła.

D. n.

WYPRAWA CHOCIMSKA.

(PRZEZ BOHDANA ZALESKIEGO).

Trzema szlachy idą Lachy,
A kozaki czterma walą:
W trawach pławią się po pachy,
Z rusznic palą, świecą stalą,
A chłop w chłopa, a koń w konia,
Aż stękają w okrąg błonia.
Gody, bracia! Dzień wesoły!
Jako mrowia — koni, ludzi;
Lud i konie jak sokoły!
Nasz Archanioł sprawia cuda!
Godyż! gody! — Z boków, z przodu
Grzmi rozgłośna pieśń pochodu.
Przy hetmanach młodź to konna
W rysich skórach. Kto jej nie zna?
Młodź litewska i koronna
Aż od Wilna gdzieś, a Gniezna!
A nad wszystkich panów znaczny
Nasz przesławny Sahajdaczny!
Pan ataman w rozdźwięk huczny
Ku torbanom kiwał głową;
Urodziwy w ślad buńczuczny
Wiał chorągwią malinową.
Biały Anioł na atlasie
Mile słaniał się w swej krasie.
«Sahajdaczny, Miły bracie! —
Sam królewicz grzecznie skinie —
Wy psim węchem więcej znacie
Niż my wszyscy o Turczynie!
Nuże w taniec! Siudy, tudy,
Po swojemu, no! w przysiudy!»
Pan ataman ku Kozaczy
Musnął szablą po kołpaku,
Wie Kozacza, co to znaczy!
Zaszumiało po tym znaku;
Świsnął wicher między nimi;
Jakby zdmuchnął — znikli z ziemi.
Ciężkaż huka po nich ziemia;
Smutno, pusto — po zamieci;
Ukrainę żal oniemia;
Na mogiłach dziewy, dzieci;
Płaczą dzieci tam po ojcach,
Płaczą dziewy po mołojcach,

Od niedzieli do niedzieli
Poświst niebem we dwie strony;
Stąd orłowie wciąż lecieli,
Uciekały stamtąd wrony:
W poniedziałek walna rada:
Sokół wieści rozpowiada.

Ałła! drała! — hu! z daleka!
Strach — bo strach tam — po harapie;
Wezyr pieni się i wścieką,
A co tchu w Bałkany drapie;
Chmura stoi nad Chocimem,
Chocim, bracia, poszedł z dymem!

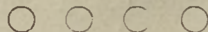


«Oj! na świecie niema gracza
Jak ataman naszej młodzi!
To też Lasza a Kozacza
Po strzemiona we krwi brodzi;
Sałhan, bracia, niesłychany,
Same tłuste basze, chany!»

Lecąż dzieci w skok na szlachy,
Klaski, wrzaski: «Nasi walą!»
Brat za brat Kozaki — Lachy,
Z rusznic palą, świecą stalą;
Godyż, gody! W rozhuk grzmotu
Stała odtąd pieśń powrotu!



Marja Buyno.



KOLEDZY.

O O C O

Ciąg dalszy.

Zygmunt więcej odczuwał, niż rozumiał, że struny przeciągać nie należy, że za chwilę nikt go słuchać nie będzie.

— Koledzy! Nie chciał bym nic poczynać w tej sprawie bez was. a zostawić jej tak nie mogę i nie chcę! Czy upoważnicie mnie do zebrania danych i porozumienia się z kolegą Strzemboszem?!

— Dobrze! Naturalnie! Rób jak chcesz!— zawołano chórem. Wszyscy byli radzi, że w ten sposób zakończą tę niemiłą sprawę, tylko Witold zaoponował, ale go zagłuszono.

— Czy kolega nie mógł by dać mi adresu Strzembosza?— zapytał Zygmunt, zbliżając się do Witolda.

— Nie wiem, nie byłem tam nigdy! — bąknął niezbyt uprzejmie, odwracając się plecami od kolegi.

— Ha, w takim razie zapytam w kancelarji.

— Kancelarja już zamknięta!— bezwiednie wyrwało się Witoldowi, a Zygmuntowi przebiegła zła myśl przez głowę: widocznie zależy mu na tem, bym tam dziś nie poszedł! Nie skłonny jednak do podejrzeń nieuzasadnionych, otrząsnął się z tych myśli i pobiegł do kancelarji. Była rzeczywiście już zamknięta, co bardzo zmartwiło Zygmunta: przybywa cały dzień niepewności, oczekiwania, męczarni!

— A co panicz za pilny interes miał do kancelarji? — zapytał woźny, widząc zmartwioną minę chłopca.

— E, nic... Chciałem się tylko dowiedzieć o adres jednego kolegi...

— A którego? Może ja wiem?,

— Wątpię. To nowy. Strzembosz się nazywa.

— Strzembosz? Strzembosz? Otóż właśnie, że wiem! Wysyłali list z kancelarji z zapytaniem, czemu nie przychodzi. Walek nosił. Walek! Walek! Chodź ino tutaj!

Z korytarza wyłonił się chłopak kilkunastoletni, o łobuzerskich oczach i zwinnej, choć bardzo chudej postaci.

— A czego tam?

— Dokąd nosiłeś list wczoraj?

— Wczoraj? Z kancelarji? A do Strzembosza!

— A gdzie on mieszka?

— Na Koszykowej, pod 26. Na trzeciem piętrze. A co? list nie doszedł?

Woźny spojrzał podejrzliwie na chłopaka.

— Toś ty go nie odniósł?

— Odnieść, odniosłem! Ale po co miałem po piętrach nogi fatygować? Więc oddałem struplowi, a ten, kto go tam wie? — mógł nie oddać.

Zygmunt nie słuchał dalszej rozmowy. Rzuciwszy szybkie: „dziękuję” pobiegł do domu.

Był bardzo zadowolony, że nie potrzebuje odkładać swego postanowienia do jutra. Pójdzie, rozmówi się z nim szczerze, wyraźnie. Niepodobna, żeby to był zły chłopiec. Dawno to należało zrobić!

Zadowolony, pewny prawie, że wszystko się dobrze skończy, zabrał się z apetytem do obiadu.

A pomiędzy kolegami, po wyjściu ze szkoły, rozpoczęły się gorące dysputy, krążące koło Zygmunta i Strzembosza.

— Wiecie, że ten Zygmunt jest naprawdę dziwny! Ujmuje się za Strzemboszem, a przecież ani mu on brat, ni swat!

— On już ma takie wrodzone poczucie „sprawiedliwości” — drwił któryś.

— Tym razem jednak trochę przesolił. Ten chłopak nie wart, by się nim tyle zajmowano.

— Zygmunt, to dobry chłopak, niema co mówić, ale trzeba przyznać, że nudny.

— No, nie! Zanadto może skrupulatny — ujmowano się niebardzo gorąco.

Koło Witolda grupowała się największa ilość chłopców. On ich przekonywał z zapałem, używając najbardziej wyszukanych wyrażeń, że są zupełnie w porządku, że ten Strzembosz, to, et! machnąć ręką na niego. Nie jest on zły, o, bynajmiej, ale taki „mamusi synek” „pieszczoszek”, zresztą dumny i zarozumiały. Nie wiele co sobie ze wszystkich robi!

Garstka tylko milczała i czuła się nieswojo. Zygmunt był rozważny i nad wiek rozsądny. Nie mógł się mylić i w tym wypadku. Czuli, że nie wszystko jest w porządku...

* *
*

Zjadłszy pospiesznie obiad, Zygmunt raźno podążył na Koszykową. Biegł prawie, wesoły, rozjaśniony, z takiem wyraźnem zadowoleniem na swej poważnej zwykle twarzyczce, iż przechodnie bezwiednie odwracali za nim głowy, a ten i ów szeptał:

— Bodaj to młodość!

W miarę jednak, jak się zbliżał, zwalniał kroku i czuł jakby pewne zakłopotanie...

Jak go przyjmie Michaś? Co mu powiedzieć w pierwszej chwili? A jeżeli... jeżeli... okaże się takim, jakim go przedstawiają fakty?

Przywodził sobie na myśl spojrzenia Michasia, chwytane w przelocie:

— Patrzył na mnie tak, jakby się po mnie czegoś spodziewał... A może mi się to tylko zdawało?

Coraz wolniej szedł, a po schodach wlókł się prawie.

— To dziwne! Mieszka w oficynie i na trzeciem piętrze. Nie jest widocznie bogaty... Może rzeczywiście nie miał pieniędzy wówczas?

Ostatnia kondygnacja schodów pokryta była grubym wojłokiem, tłumiącym zupełnie kroki. Na drzwiach była nalepiona kartka:

„Dzwonek nie dzwoni, proszę lekko zapukać.”

Coraz bardziej nieswojo było chłopcu: dziwny jakiś dom! Czyżby matka Strzembosza była tak nerwową, że nie znosiła głośniejszych dźwięków? Zastukał lekko raz, drugi, trzeci... Czekał dość długo. Gdyby nie umiał panować nad sobą, zawróciłby jaknajchętniej.

Wreszcie drzwi otworzyły się cichutko, bez szelestu niemal i ukazała się w nich postać starej kobiety, o twarzy bladej, podkrążonych oczach, w których malowało się wielkie cierpienie.

Po dłuższej dopiero chwili Zygmunt opanował się i zapytał szeptem, bezwiednie dostosowując się do ciszy, panującej w mieszkaniu:

— Czy tu mieszka Michaś Strzembosz?

Siwa głowa starej kobiety zatrzęsła się, z oczu trysnęły dwa strumienie łez, przycisnęła pomarszczone ręce do ust, by stłumić łkanie, gwałtem wyrywające się z jej piersi.

Zygmunta owiało lodowate zimno; jakiś strach niespodziewany chwycił go za gard-

ło. Czuł, że cisza tego mieszkania spowodowana jest jakiemś nieszczęściem, że jakaś straszna tragedja rozgrywa się pod jej osłoną. Nie miał już chęci do ucieczki. Wsunął się cichutko do przedpokoju, zamykając ostrożnie drzwi.

— Co się stało? - zapytał, a głos jego drżał takim niepokojem i współczuciem, że stara kobieta podniosła nań oczy i szepnęła przez łzy;

— Panicz pewnie razem z naszym biedakiem się uczył... O, ta szkoła... ta szkoła!...

I znów łkać zaczęła.

W tej chwili drzwi przyległego pokoju otworzyły się i Zygmunt ku swemu wielkiemu zdumieniu, zobaczył dr. Ksawerego.

Zrozumiał wszystko! Ten bardzo chory chłopiec, to Michaś! Pociemniało mu w oczach, nogi ugięły się pod kolanami; czyżby przychodził zapóźno?

Doktór położył mu obie ręce na ramionach i pociągnął go za sobą do małego pokoiku. Rzucona na kanapce poduszka i wojłokowa kołdra dowodziła, że staruszek tu teraz sypiał.

— Tyś jego kolega?

Zygmunt kiwnął głową: przez gardło ściśnięte konwulsyjnie, nie mógł się przedrzeć dźwięk żaden. W ustach drgało mu boleśnie jedno słówko wciąż i bez końca:

— Krzywda! krzywda! krzywda!

— Nie przejmuj się tak! Cóż to znowu? Ani poznać mogę mego dzielnego Zygmunta! Czy to twój przyjaciel?

Chłopiec przechodził tortury. Zdawało mu się, że cała wina tej choroby, oh, pewnie strasznej, beznadziejnej, na nim spoczywa!

Boże! Boże! To pewno przez nich! przez ich okrucieństwo!

— Uspokój się, chłopcze! Widzisz, twoja obecność jest tu bardzo pożądana! Możesz mi dać jakieś wyjaśnienia. Z majaczeń chorego wnioskuję, że musiało zajść jakieś nieporozumienie w klasie. Dla niego to w tej chwili obojętne, ale matka, biedna matka, chwyta te bezładne wyrazy i męczy się niemi bezgranicznie... Ty wyjaśnisz i uspokoisz ją...

— O doktorze! doktorze! — jęknął Zygmunt, rzucając się na piersi swego starego przyjaciela z głuchym szlochem.

— Zygmuncie! Nie rozumiem cię! Przecież chyba ty...

Pan Ksawery zatrzymał się, patrząc z wielkim niepokojem w oczy chłopca.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Któż tam znowu? Przez te kilka dni nikt nie przychodził... Idź, otwórz!

Zygmunt posłusznie spełnił polecenie doktora, lecz otworzywszy drzwi, nie mógł pohamować lekkiego okrzyku: w progu stał prof. Molski.

— Ty tu?—rzekł, nieco jakby zmieszany profesor, ale Zygmunt w tej chwili chwycił go konwulsyjnie za rękę i zmienionym, przyciszonym głosem, mówił:

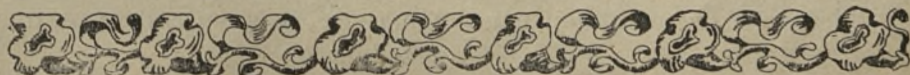
— On jest bardzo chory... bardzo! To przez nas... przeze mnie! Doktór Ksawery mówi, żeby uspokoić matkę... Co ja powiem? Co ja jej powiem?

Profesor na razie nie rozumiał, o co chodzi Zygmuntowi. Z jego słów uchwycił przedewszystkiem pierwszą wiadomość:

— Chory? Co mu jest?

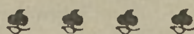
— Nie wiem. Tam zresztą jest doktór, chodźmy do niego.

D. c. n.





Wystawa entomologiczna.



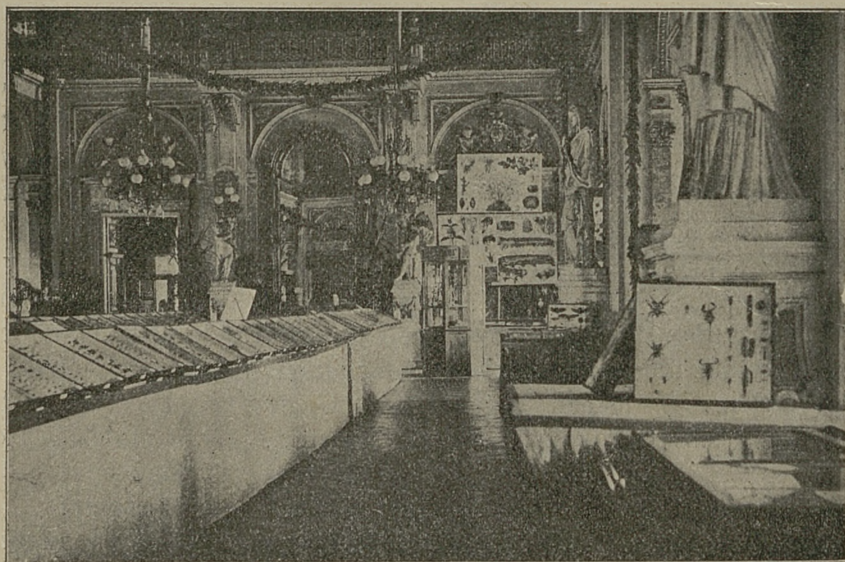
Żywem kwieciem nazwał motyle jeden z poetów naszych.

Przepiękny bukiet tego barwnego kwiecia sfrunął do nas i zajął miejsca w wielkiej sali magistrackiej, w gablotach a towarzyszą mu i inni przedstawiciele świata owadów.

Pierwsze miejsce wśród zbiorów prywatnych zajmuje kolekcja p. Juljusza Izaaka z Zawiercia.

Bogata ta kolekcja, gdyż zawiera około 11,000 gatunków wszystkich grup owadów, ułożonych systematycznie.

Nie brak tam owadów i ze stron egzotycznych, choć większość stanowią owady, w kraju naszym żywot wiodące.



Główna sala wystawowa.

Widok piękny i pouczający.

Za zasługę też towarzystwu miłośników przyrody poczytać należy urządzenie wystawy etnomologicznej.

Złożyły się na nią zbiory prywatnych zbieraczy i zbiory różnych instytucji naukowych.

Również bogatą kolekcję wystawił dr. Eichler z Pabjanic. Kolekcja ta, owoc długoletniej pracy, zdumiewający swą systematycznością w naukowem traktowaniu przedmiotu.

Zbiór dr. Eichlera zawiera 4396 numerów, przyczem każdy okaz zaopatrzony jest w specjalną legitymację, wyliczającą jego rodowód, miejsce zamieszkania i t. d.

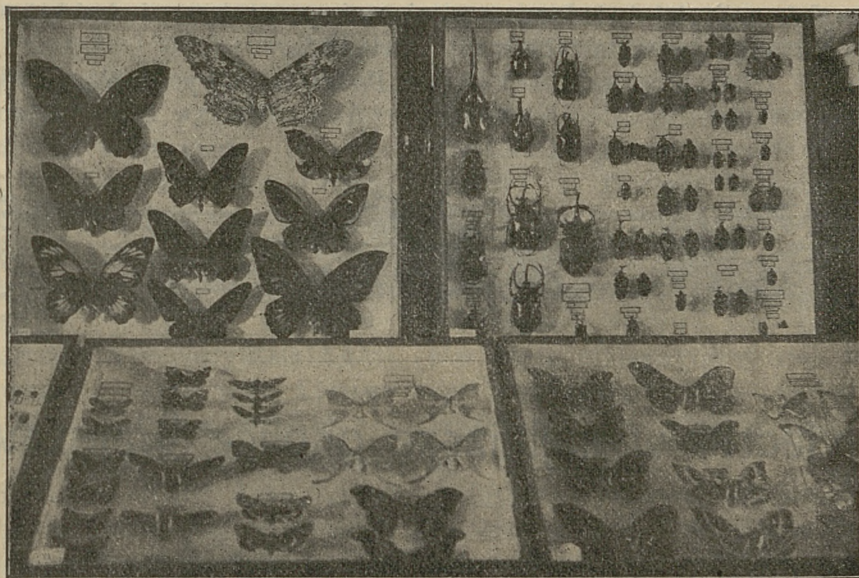
Dodane przytem katalogi jaknajdokładniej informują oglądających. Kolekcja ta jest i z tego powodu jeszcze ważną i ciekawą, iż zawiera przedstawicieli wszystkich bez wyjątku rodzin owadów, zamieszkujących Polskę.

Potężna kolekcja chrząszczy krajowych zawiera zbiór ś. p. Wojciecha Mączyńskiego,—much zaś zbior ś. p. dr. Jana Sznabla.

Nadzwyczaj barwną i piękną jest kolekcja motyli i chrząszczy egzotycznych, wystawionych przez p. Ostrowskiego.

W prawej nawie sali zgromadzono cały szereg okazów szkodników, oraz zilustrowano sposoby walki z nimi...

A więc p. Antoni Chrzanowski wystawił szereg okazów szkodników w leśnictwie, oraz działalność ich zilustrował okazami drzew uszkodzonych.



Gabloty z motylami.

Z innym rodzajem okazów wystąpił p. Jarosław Chełmiński. Niezależnie od olbrzymich okazów pluskwiaków i prostoskrzydłych egzotycznych. wystawił on zebraną przez siebie literaturę entomologiczną, możliwie kompletną.

P. Arkadjusz Kreczmar wystawił bogaty zbiór motyli, mieszczący się w 45 gablotach.

P. Stanisław Karpowicz z Rybmian, 24 gablotki różnych grup, ułożonych systematycznie, z pominięciem chrząszczy. Ze zbiorów swych p. Karpowicz w dniu otwarcia wystawy uczynił wspaniały dar Tow. Miłośników Przyrody.

Okazy roślin uszkodzonych i środki przeciwko szkodnikom w ogrodach stosowane, wystawiło Tow. Ogrodnicze Warszawskie.

Piękną kolekcję ptaków krajowych owadożernych, oraz gablotki ilustrujące życie zbiorowe owadów i zjawiska przystosowań do tła, wystawiło Polskie Tow. Krajoznawcze.

Literaturę entomologiczną nader obfitą wystawiła znana dobrze księgarnia wydawnicza M. Arcta.

Pomoce naukowe, w postaci tablic, pre-

paratów, naczyń i przyborów do chwytania owadów wystawiła „Urania” oraz p. Edward Korb, i jedna z firm kijowskich.

Pszczelnictwem zajęło się Warsz. Tow. Pszczelnicze, jedwabnictwem zaś p. Helena Gabrielowa.

I młodzież szkolna przyjęła udział w tej wystawie.

12 gablotek swych zbiorów wystawili uczniowie szkoły miejskiej w Zawierciu, a systematyczne ułożenie owadów, oraz piękny ich wybór najlepiej świadczą o wysokim poziomie nauk przyrodnicych w tej szkole.

Toż samo można powiedzieć o zbiorach braci Kremky, którzy nadesłali 10 gablotek.

Całości wystawy dopełniają tablice ręczne p. F. Królikowskiego, ilustrujące anatomję i rozwój owadów, wiwarja z żywemi okazami, oraz piękny kjosk z przezroczami p. St. Szalay'a, ilustrującemi życie owadów.

Jedno można z wszelką pewnością powiedzieć o wystawie: jest piękną, zajmującą i pouczającą, i każdy powinien ją zwiedzić...

Podążycie i wy na nią... Nieprawdaż?...

Edm. Jezierski.



Wycieczki w najbliższe okolice Warszawy.



Nadchodzi upragniona, ciepła pora wiosny, a z nią rozmaite zamiejskie wycieczki, pospolicie zwane majówkami, chociażby odbywały się w sierpniu.

Z uciechą rzucamy ciasne mury dusznego miasta, by orzeźwić pierś i wzrok budzącą się do życia naturę, lecz pozwalając sobie na rozrywkę, starajmy się połączyć przyjemne z pożytecznem i zwiedzając jakąś miejscowość, choćby nakrótko, przelotnie — poznajmy ją zawsze z jej strony historycznej, etnograficznej, a tym sposobem oprócz przyjemności, będziemy jeszcze kształcić swój umysł i serce, nic bowiem nie porusza tak silnie strun naszej duszy, jak osobiste zetknięcie się z tem, co miało żywy, bezpośredni związek z drogą nam przeszłością, z chwilami jej tryumfu, czy niedoli.

Ponieważ jednodniowe wycieczki urządzane są zwykle jaknajbliżej miasta, w jego okolicach — o nich, o okolicach Warszawy, z ich strony histroryczej, tradycyjnej mówić będziemy. Nie będą to referaty szczegółowe, wyczerpujące, lecz tylko luźne, naukowe notatki, uwagi, zastosowane do chwili, mającej jako główny cel — rozrywkę.

Wilanów.

Do najbardziej godnych widzenia okolic Warszawy, należy posiadłość wiejska, zwana Wilanowem. Z pięknością miejscowoś-

ci łączą się w niej zarazem i zajmujące wspomnienia historyczne ostatnich dni, pełnych chwały, króla — bohatera.

Jan III Sobieski po oswobodzeniu Wiednia w r. 1863 i pamiętnym pogromie strasznej potęgi muzułmańskiej, mając wielką ilość jeńców tureckich, użył ich do budowy pałacu dla siebie i ogrodu, gdzieby swobodnie po trudach wojennych i pracach, do korony przywiązanych, mógł odetchnąć i odpocząć.

Wybrał na ten cel wieś położoną nad Wisłą, i w oznaczonej miejscowości, podług planu budowniczego, Józefa Belloti, pałac w guście włoskim wystawił, z włoska go Wilanowem nazywając.

Znalazł tu dużo starodrzewiu, ale będąc wielkim miłośnikiem ogrodnictwa, sam wiele lip własną ręką zasadził.

Jest to największy w dawnej polsce pałac, z rozległym i bogatym w drzewa i cielarnie ogrodem, z wodotryskami i kaskadami, z pysznym tarasem, z którego się najlepiej cały gmach przedstawia.

W tym to zacisznym pałacu, Sobieski przepędzał najmilsze chwile życia, tu go serdecznie bawił trefniś jego nadworny, Winnicki, płatając dowcipne figle francuzom, co się roili na dworze chytrej królowej, ukochanej żony króla Jana, Marysieńki. Tu go odwiedzał Chryzostom Pasek i podarował swemu wodzowi ową historyczną, wyuczoną do łowienia ryb wydrę. Tu najmłodszy jego syn, królewicz Konstanty, igrał wesoło i bawił się z hrabianką Wesslówną, córką starosty Różańskiego, późniejszą swoją nieszczęśliwą małżonką. Tutaj sama Marja Wesslówna, jako dziesięcioletnia dzieweczka częstokroć swoim uśmiechem i serdeczną pieszczotą rozchmurzała zasępione czoło Zwycięzcy z pod Wiednia, którego rodzone córki, skutkiem niewłaściwego wychowania pysznej matki, pieścić się i rozweselać nie śmiały, aby nie uchybić etykiecie, do przesady przez królowę przestrzeganej.

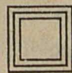
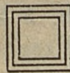
Tu wreszcie Jan III w r. 1696 zakończył życie, zatrute zmartwieniami w ostatnich latach panowania, kiedy poczuł cały ciężar korony cierniowej.

Po śmierci ojca, najstarszy syn jego, królewicz Jakób, sprzedał Wilanów Sieniawskiej; córka jej, księżna Czartoryska, udzieliła go jako dożywocie królowi, Augustowi II. W owej też dobie gwar szalonych zabaw często rozbijał się o mury tego gmachu — zabaw, pochłaniających miljony, marnotrawną ręką rozrucanych. Hulaszcza ta wrzawa przy brzęku puharów, kaziła majestatyczny urok Wilanowa, opromienionego sławą jednego z największych bohaterów XVII stulecia, jakim był król Jan Sobieski.

Następnie Wilanów odziedziczyła księżna Lubomirska, a po matce objęła małżonka Stanisława hr. Potockiego, i w ręku tej rodziny dotychczas zostaje.

Wewnątrz wspaniałe komnaty zachowują mnóstwo zabytków po królu Sobieskim. Liczna galerja obrazów i zasobna biblioteka, niemniej szacowny zbiór rzeźb, stawiają Wilanów w rzędzie najpiękniejszych pamiątek krajowych. Gmach ten mógłby dać osnowę do obszernej monografi — a szkoda, że jej nie posiadamy! Społeczność Polska nie zna bogatych pamiątek i zbiorów artystycznych Wilanowa!

(D. c. n.)

KRONICZKA.

△ W Perugji, we Włoszech, wynaleziono trzy obrazy, przypisywane wielkiemu malarzowi włoskiemu Rafaelowi.

△ W Rzymie zmarł jeden z miljarderów amerykańskich, Pierpont Morgan, tak zw. król kolejowy.

△ Suma składek, zbieranych w Anglji na rzecz rodziny, pozostałej po kapitanie Scott'cie, który zginął w czasie wyprawy do bieguna południowego, przewyższyły sumę 400,000 rubli.

△ Papież, Pius X, zapadł ciężko na zdrowiu. Wobec podeszłego wieku Ojca św., zachodzą poważne obawy.

△ Król Mikołaj czarnogórski, pomimo pogróżek mocarstw, nie zaprzestał oblegania Skutari, odrzucając proponowaną mu rekompensatę pieniężną.

△ Krążą pogłoski, że zawarcie pokoju państw bałkańskich z Turcją, jest bardzo blizkie.

△ We Lwowie zmarł znany publicysta, dr. Kazimierz Ostaszewski - Barański, redaktor „Dziennika Polskiego".

△ Na całym zachodzie Europy, a więc i u nas, zapanowały znów mrozy i śniegi, które dotkliwie dały się we znaki zasiewom i drzewom owocowym.

△ W Cieszynie zmarł w 77-m roku życia ś. p. Jerzy Cienciara, wielki działacz szląski.

△ W tych dniach przy pomocy telegrafu bez drutu, przesłano bezpośrednio depeszę z Paryża, ze szczytu wieży Eifla, do stacji w obserwatorjum astronomicznem w Arlington, pod Waszyngtonem. Odległość między temi dwoma miejscowościami wynosi w prostej linji 7,000 kilometrów.

△ W Charlottenbergu zmarł słynny elektrotechnik niemiecki, prof. Adolf Slaby, twórca nowego systemu telegrafu iskrowego.

Aforyzmy o milczeniu.

(Uwadze Michasia A. polecone!)

Milczeć, to znaczy oszczędzać nerwy.

— — —

W milczeniu skupia się energja, w mówieniu się rozprasza.

— — —

Rozumiemy dobrze, kiedy należy mówić, lecz rzadziej — kiedy trzeba milczeć.

— — —

Milczeć należy często wtedy, gdy bierze chętka zganić.

— — —

Wystarczy nieraz położyć palec na usta i spojrzeć surowo a wymownie na winowajcę, aby go dotkliwie ukarać.

— — —

Przedewszystkiem należy milczeć w gniewie, aby nie powiedzieć zawiele, lub nie popełnić jakiego głupstwa.

— — —

Ugryź się w język, lub licz do dwunastu, ale milcz, gdyż mowa może ci zaszkodzić.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa**. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3